

Adam RODZIŃSKI

PRELUDIUM DO ROZWAŻAŃ O POLSKIEJ KULTURZE NARODOWEJ

Kultura nasza narodowa to obłękające się w swą „materię” życie duchowe tej dziejowej całości, jaka zwie się Polską.

Obawiamy się podobno wręcz obsesyjnie – jako Polacy – nadmiaru uporządkowania. Lubimy inicjować wiele rzeczy (a nawet finalizować niektóre) z gestem i fantazją. Specjalnością naszą i grzechem naszym głównym – też podobno – jest niesforność; atoli czy „sforność” to zaleta? Wszak ci to również wada, z tym, że dużo gorsza (przykładów dowodzących tego – zwłaszcza w naszym stuleciu – znaleźlibyśmy dość). Czyżby sprawdzało się aż tak powszechnie u nas rzymskie powiedzonko: „quot capita tot sensus”? Mniemam, że tak źle nie jest. Nie jesteśmy na ogół indywidualistycznie i burzliwie usposobionymi nonkonformistami, lubimy jednak dodawać prawie do wszystkiego coś niecoś bałaganu. Postaram się tu zresztą potwierdzić osobiście ten charakterologiczny rys naszej polskiej fizjonomii narodowej chaotycznym do pewnego stopnia i luźnym tokiem myśli i rozmyślań. Hasło „dla każdego coś miłego” jest ciągle cenione i modne, a „przede wszystkim nie nudzić” to pierwsza hipokratejska zasada naszych gorączkowych czasów.

Zacznijmy więc uwagi niniejsze i refleksje odnudzająco, bo przekornie, od cenionej wszakże i u nas idei porządku. Ordo est anima rerum tramesque ad Deum – porządek jest duszą rzeczy i ścieżką do Boga. Któż z nas, po chrześcijańsku wierzących Polaków, nie podpisze się pod tą maksymą pochodzącą z wieków dawnych, przecież jednak nadal aktualną? Wystawieni w dziejach naszych narodowych na „ciągłe przeciągi” z pewnością cenilibyśmy sobie – podobnie jak pożałowania godni użytkownicy „wielkiej płyty” – każdy cichy kącik, spokojny i zabezpieczony przed intruzem, gdybyśmy go mogli mieć. Zmuszeni do ciągłego improwizowania, budowania domów co jakiś czas na pogorzeliiskach, wprowadziliśmy za to do osobowości naszej narodowej element zdrowego dystansu wobec spraw przyziemnych; polski ethos i pathos stałym są na to dowodem, pomimo wielu niestawnych wyjątków stwierdzających raczej tylko istnienie reguły z nimi sprzecznej. Ten właśnie dystans – wielkoduszny i bezinteresowny – pozwala Polakom, w większym zapewne stopniu niż przeciętnym przedstawicielom wielu innych nacji, czuć się osobami.

Na pozór nic prostszego jak czuć się tym, kim się od początku i niezbywalnie jest, choćby się było – tak jak w tym wypadku – tym „nuklearnym” kimś nie z inicjatywy osobistej; pozory jednak mylą. Czuć się sobą w tym najgłębszym i podstawowym sensie to niełatwa sprawa. Mieć pełną świadomość faktu, że się jest osobą, to rozumieć, choćby w sposób intuicyjny i nie skonceptualizowany, że się jest podmiotem osobnym całkowicie i autonomicznym, ale i ukierunkowanym równocześnie „ad alterum” – ku innym podmiotom tego typu – w sposób konstytutywny (nieprzypadłościowy) i funkcjonujący u samych podstaw naszego działania, u podłoża wszelkich styczności, spotkań i porozumień międzyosobowych. Jest to niezmiernie ważne nie tylko dla osobistej kultury człowieka, ale zachowuje też swoją doniosłość w ramach każdej kultury narodowej, bo dzięki temu właśnie – posłużmy się tu formułą Karola Kardynała Wojtyły – „faktyczna wielo-podmiotowość rozwija się w kierunku podmiotowości wielu”¹. Im bardziej więc człowiek czuje się osobą, tym głębiej solidarny jest ze swym narodem. Wartość „osobności” wypełnia się na tej drodze wartością „bycia razem” na głębokim fundamencie tej „wspólnotowości osób”, o jakiej była mowa. Tu dopiero ukazują się nam wartości i racje, z uwagi na które warto żyć i warto tracić życie. Są to racje moralne i ogólnoludzkie, ale właśnie dlatego poszczególny Polak, im bardziej czuć się będzie podmiotem dopuszczonym na gruncie samostanowień własnych do współodpowiedzialności za kształt i sens tego, co dzieje się w zakresie spraw, które mu – jako Polakowi – nie mogą być obojętne, tym większa pojawi się przed nim szansa bycia nie tylko „dobrym Polakiem”, ale i lepszym człowiekiem, godniejszym powszechnej, ogólnoludzkiej akceptacji i aprobaty.

Tożsamość nasza narodowa interesuje nas nie od dziś, dyskusji na ten temat różnych była moc, ciągle nam ich mało. Najwidoczniej polskość nasza jest dla nas samych jakąś tajemnicą. Zdajemy sobie z tego sprawę, że jesteśmy Polakami w jakimś innym nieco znaczeniu, niż np. Brytyjczyk jest Anglikiem albo Szkotem. W znaczeniu innym raczej naród nasz jest narodem, niż np. amerykański naród (mam tu na myśli ogół obywateli Stanów Zjednoczonych), czy tym bardziej sąsiadujący z nami od wschodu „naród stu narodów”²; na pewno też nie jesteśmy narodem w tym znaczeniu dokładnie, w jakim stanowią określoną wspólnotę narodową Niemcy (na ile Austriak uważa się za Niemca?) albo Żydzi (tu może najwyraźniej zaznaczała się w dziejach różnica między narodem a narodowością), nie przypominamy też wielojęzycznego narodu Szwajcarów.

Wielką „familiją narodów” jest cywilizacja – np. ta, która ogarnęła nas przed laty tysiącem w zwycięskim swym pochodzie od wybrzeży Morza

¹ Kard. Karol Wojtyła, *Osoba: podmiot i wspólnota*, „Roczniki Filozoficzne” 24 (1976) z.2, s. 34.

² Por. G. Kublicki, *Naród stu narodów*, Warszawa 1987.

Śródziemnego. Przybyło z nią chrześcijaństwo, ale przybył i dawny, starożytny Rzym ze swoim językiem, z właściwymi sobie „formami i normami” życia publicznego. Dzięki niej narody Europy zintegrowane zostały wielowymiarowo, dynamika tego procesu w sposób znany nam wszystkim zaznacza się również dziś. *Kultura* nasza narodowa to oblekające się stale w swą „materię” życie duchowe tej dziejowej całości, jaka zwie się Polską. „Naród żyje wciąż swoją historią” – przypomniał nam Jan Paweł II w auli KUL-u, wskazując na „wielki dziejowy proces spotkania pomiędzy Zachodem a Wschodem”, proces, który „nie jest jeszcze zakończony”³.

O splatających się tu i powiązanych z sobą korzeniach przedcywilizacyjnych wspomnę tu też krótko. Niech zresztą powie o tym za mnie niezapomnianka, czy – jak się dalej ku wschodowi ją zwie – niezabudka. *Vergissmeinnicht* – *forget-me-not* – *ne-m'oubliez-pas* – wszystkie te czy im podobne określenia wymownie świadczą o tym, jak bliscy sobie pomimo wszystko musieli być ludzie, z których tak różne, a nawet obce sobie populacje wywodzą swój kulturowy byt. Zniknęła, zapomniana została baśń opowiadana dzieciom przez piastunki – kiedyś, przed tysiącami lat. Pozostał tylko skromny, drobny kwiatek. Ci, bez których nie byłoby nas na świecie – nas Europejczyków – byli ongiś razem. A może by tak – podejmując tę baśń utraconą – zapewnić z kolei nasze dzieci – od Gibraltaru do Uralu – że ilekroć dorośli sięgają po broń przeciw sobie, kwiat niezabudki płacze?

Przestrzeń kultury narodowej nie tylko obejmuje to, co na powierzchni. „Zstąpmy do głębi” – mówi Mickiewicz – a mówi o narodzie, który „jest jak lawa”. Podobnie wyrazi to – po dalszych tragicznych doświadczeniach dziejowych – Wyspiański. Zaproszony na chłopsko-pańskie wesele Chochół nie jest ani „śmieciem”, ani wiechciem słomy – jest królewską różą osłoniętą szczelnie. Ów najdziwniejszy gość – on jeden – wiedział, co to się naprawdę wydarzyło tam i wtedy: u progu Krakowa, u progu nowego wieku. Wziął na siebie odium smętnego finału i tłumaczy – tłumaczy po dziś dzień, jak *illo tempore* Isi, krakowiance czupurnej, pańsko-chłopskiemu dziecku: „sam twój tatuś na mnie wdział”. Pokazuje przyodziewek swój słomiany i dodaje z niejaką melancholią w głosie: „bo się bał... bo się bał, zaśbym zwiądnął – róży krzak”.

³ Jan Paweł II, Przemówienie w auli KUL-u (9 VI 87) na spotkaniu z polskim światem akademickim. Wg „L'Osservatore Romano” 8(1987) nr 5, s. 12.